



Puk (Henryk Boukolowski) — Oberon (Józef Dariusz) — Tytania (Barbara Pietkiewicz) — Spodek (Józef Lotysz)

JERZY LAU

Szekspirowskie Iuvenalia

Nowa premiera w Ateneum zdumiewa. Może to dürrenmattowska groteskowa dramaturgia, może doświadczenia „esteesów”, a może nasze zamięłowania do nowości i eksperymentów sprawiły, że ambicją każdego niemal teatru stało się poszukiwanie nowych więzi ze współczesnością. Jedną z takich nowatorskich, ciekawych prób teatralnych jest bez wątpienia „Sen nocy letniej” Szekspira z takim wdziękiem wystawiony przez Aleksandra Bardinię. Mam wrażenie, że ta współczes-

nej młodzieży. Wiec na studenckich iuvenaliach w Ateneum pod auspicjami i przewodnictwem mistrza i czarnoksiężnika poezji Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego wybija się zdecydowanie na czoło zespołu uroczą, pełną temperamentu Hanna Zembrzaska w roli Hele. Jako zakochana dziewczyna z wielkim wdziękiem przekazuje zmienność uczuć, groteskowy liryzm. Jej gra wydaje się z pogranicza comedii dell'arte; czaruje od pierwszej chwili. toteż Demetriusz (Roman Wilhelmi) z trudem musi wzbudzić w sobie dąsy, niechęć, czy odrazę. Zresztą nikt w nią nie wierzy. Jest przystojnym Demetriuszem ze Stodoły w dunkrach, ale w białej kryzie abyśmy nie zapomnieli czasem o historii i epice.

Najbardziej wybijającą się kreacją aktorską wśród mężczyzn jest Puk (Henryk Boukolowski), który jest w typie warszawskiego cwaniaka, figlarza, kawalarza, któremu nie wiadomo dlaczego scenograf zadał tyle trudu, kładąc mu tak często włożyć po drabinie, a potem skakać przez okno. Wydaje się czasami, że Puk przypomina Gila (Gołasa) z „Parad”, również jednego z najbardziej warszawskich ełłów, jakich znam. Wiele satysfakcji sprawiają wdzięczne ruszki w trykotach i oczywiście „przy ogonach” (Teresa Trojan, Antonina Kanińska i Krystyna Bryl), które wiele czynią dla podtrzymania żartobliwego tonu nastroju całego spektaklu.

Nieco autonomiczną grupą szekspirowskich iuvenaliów wydaje się zabawna trupa Pigwy czy Spodka, „czyniąca teatr w teatrze” przed groteskową publicznością na temat Pyramy i Tyzby. Jasełkowy, jarmarczny charakter tego widowiska trochę jest z innej beczki. Nie trafia w sztabacki ton „Snu” co utrudnia nawiązanie lirycznej więzi z resztą widowiska, chociaż lew i leb konia jest wspaniałą, księżyc jest zabawnym, a same w sobie są arcyśmieszne.

Jednakże, jak już powiedziałem, humor trupy aktorskiej nie jest sztabacki, żakowski w tej krotchwili, wydaje się raczej ludowy, plebejski. Może jedynie Spodek zbliża się chwilami do świata młodych; zakochanych par i ich miłosnych perypetii. Reszta natomiast jest dla siebie odrębną całością i Dudamiechownik i Ryjek — kotlarz i Zdechłak — krawiec.

Nie dopisały natomiast zupełnie królewskie i książęce dwory, orszaki Oberona i Tytanii, czy Tyzeusza i Hipolity. Nie wiadomo dlaczego w swych kabaretowych szatkach nie mogły się zdecydować na żakowskie igrze, zabawę na tematy szekspirowskie. Dlatego wszystkie sceny dworskie wypadły dość słabo; z niecierpli-

wością oczekiwaliśmy powrotu do pobliskiego gaju, którego nie było, ale w którym rozgrywały się uroczne miłosne krotchwile, czułości i potajanki młodych, tak bałamutnie zaplątanych w sieć intryg i pomyłek Puka swawolnika. Wojciech Sieniński, który o ile wykazał wielką inwencję w kostiumach, zawiódł w dekoracjach. Mur z oknem, przez które ciągle wchodzi Puk i kiczowaty landszaft jako stałe akcesorium był raczej elementem nużącym i wcale nie ułatwiającym zadania aktorom. Brakowało tu jakiejś plastycznej syntezy, lapidarności scenicznej i dowcipu. Wreszcie dopelnia widowiska przyjemna muzyka Tadeusza Bairda oraz zabawne tańce w układzie Barbary Fijewskiej. W sumie więcej zalet niż usterek. Dzięki inwencji reżyserskiej Bardinięgo oraz aktorstwu młodych bijemy znowu brawo Szekspirowi i młodości,

TEATR

na nowa poetyka teatralna zrodziła się najpierw wśród młodzieży w Manekinie. Jak wiemy często grany „Sen” najbardziej ulegał mumifikacji, gdyż kilkunastowieczne tradycje nawarstwiały się grubą skorupą, przez którą trudno było torować drogę nowej wyobraźni. Przecież dobrze pamiętamy ile w każdym „Snie” musiało być gajów baśniowości, liryczności najszybszych dziadków, ile westchnień z arkadyjskich scenek ogrodowych skopionych ze starych gobelinów, czy obrazów Watteau. Tymczasem nic z tych rzeczy. Bardini zaprasza do Ateneum na szekspirowskie iuvenalia.

Dziewczęta „przy ogonach” i na szpilkach, a chłopcy wprawdzie w kryzach ale w dunkrach ostrzyżeni na „żerofilipków ostrowłoszych”. Tak że chwilami czujemy się jak w Stodole czy Bim-Bomie, gdzie narodził się przed kilkoma laty ten żartobliwy realizm antyfasadowy, antykonwencjonalny, zadziorny, szydery, któremu sprzyjamy i dziś z całego serca.

Ciekawe, że ów styl studencki, który ostatnio tak głośno ujawnia się na scenach zawodowych, źle się czuje na swoich starych śmieciach; przeżywa jakąś „studencką klasycyzację” i znużenie. Aktorzy z „esteesów” są wyraźnie zmęczeni, podczas gdy na scenach teatrów zawodowych są pełni życia i temperamentu. Czyżby studencka Melpomena zmieniła swój adres? Oczywiście całą tę uroczą maskaradę podszeptła „Zielona gęś” i jej demaskatorski antypompierski humor, który od dawna znalazł zrozumienie u ca-